

Materiały

NIEMIECKI NADLEŚNICZY O ZAGŁADZIE ŻYDÓW W CHEŁMNIE NAD NEREM

W Archiwum Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce przy Ministerstwie Sprawiedliwości znajduje się przebitka maszynowa opracowania pt. *Die grosse Lüge — Chełmno, der Nationalsozialismus, wie ihn das deutsche Volk nicht kennt, Ein Erlebnisbericht* von H. May (*Wielkie kłamstwo — Chełmno, narodowy socjalizm w postaci narodowi niemieckiemu nieznaney*, pamiętnik H. Maya). Pamiętnik ten napisał — jak wynika z przedmowy — H. May w lutym 1945. W trzy lata później został pamiętnik ten pismem z dn. 6 I 1948 przez *Polish Liaison Detachment, Deputy Theater Judge Advocates Office 7708 War Crimes Group A.P.O. 407 United States Army* przesłany Polskiej Misji Badania Niemieckich Zbrodni Wojennych w Bad Salzfluen „do wiadomości i ewentualnego wykorzystania”. Pismo z dn. 6 I 1948 nosi podpis majora W. Czechowskiego, zastępcy szefa misji, który zapewne do wspomnianego *Polish Liaison Detachment* był delegowany. W tymże piśmie donosi on misji, że oryginał przesyła równocześnie Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce. A więc dokument ten został przez autora złożony władzom wojskowym Stanów Zjednoczonych i przez nie — w oryginale — przekazany Polsce.

Przebitka oryginału przechowywana dzisiaj w Głównej Komisji nie obejmuje całości pracy. Ze spisu treści wynika, że ma ona cztery rozdziały: I. *Jak stałem się narodowym socjalistą*, II. *Moje przeżycia w Polsce*, III. *Wielki mord na Żydach*, IV. *Marsz powrotny*. Przebitka zawiera, poza przedmową w spisie treści osobno nie wykazaną, jedynie trzy rozdziały, a więc brak rozdziału IV, który — jak należy wnosić z tytułu — został poświęcony ewakuacji mniejszości niemieckiej z Polski na przełomie 1944—45 r. w obliczu nadchodzącej Armii Radzieckiej.

Już pobieżny rzut oka wykazuje, że jest to rzecz, która ze wszech miar zasługuje na wnikliwe studium. Dotyczy to głównie rozdziałów II i III, gdzie opisano okupację w Polsce. Z nich ważniejszy jest rozdział III o masowej zagładzie Żydów w Chełmnie nad Nerem w pobliżu Koła, przy linii kolejowej Poznań-Warszawa. Zawiera on szereg nieznanych dotychczas szczegółów. Dla oceny wartości owego rozdziału III poważne znaczenie mają również poprzedzające go części, rozdział II o przeżyciach autora w Polsce, a nawet rozdział I, w którym May opisuje swoją drogę do partii narodowosocjalistycznej i swoją w niej działalność do pierwszych miesięcy II wojny światowej. W całej pracy daje autor swój autoportret moralny, przede wszystkim we wspomnianych dwóch rozdziałach. Rozdział II, dotyczący wyłącznie kon-

taktów autora z Polakami, pozwala nam stwierdzić wiarygodność autora, bo wielu wymienionych przez niego świadków dzisiaj jeszcze żyje.

Kim jest autor pamiętnika H. May? Na podstawie pamiętnika można ustalić następujący jego życiorys. Urodzony pod koniec ubiegłego stulecia skończył szkołę w r. 1911 i zaczął praktykę w państwowym nadleśnictwie gdzieś w Rzeszy. Niebawem po wybuchu I wojny światowej, jako bardzo jeszcze młody człowiek, wbrew woli rodziców poszedł do wojska i walczył na froncie zachodnim, tam został mianowany podoficerem i odznaczony żelaznym krzyżem I i II klasy. Po wojnie pracował jako leśniczy. Pociągała go jednak praca polityczna, wstąpił do partii narodowosocjalistycznej, po zdobyciu zaś władzy przez Hitlera do organizacji SS, gdyż powiedziano mu — jak pisze w pamiętniku — że stanowi ona elitę partii. Chciał przez to uniknąć zrównania z masowo wówczas do partii wstępującymi oportunistami. Ponieważ przyjmowanie nowych członków do SS było wstrzymane, przyjęto go w drodze wyjątku z mocą wsteczną od 1 I 1933 r. W nocy z 25/26 VIII 1939 r. został zmobilizowany i wysłany nad granicę belgijską. Okazało się niebawem, że nie jest zdolny do służby wojskowej i wskutek tego został już na początku grudnia 1939 r. zwolniony. W styczniu 1940 objął stanowisko nadleśniczego (*Forstmeister*) w okupowanej Polsce, w tzw. Kraju Warty, w powiecie kolskim. Piastował je do końca okupacji. Poza tym zajmował szereg innych stanowisk: jako nadleśniczemu powierzono mu urząd powiatowego łowczego, od r. 1943 zastępował powiatowego sędziego w ramach aparatu partyjnego, ze służbą SS nie miał jednak nic wspólnego, pracował tylko w pomocy społecznej tej organizacji (*Hinterbliebenenbetreuer*). W dn. 1 VI 1942 pod wrażeniem akcji w Chełmnie złożył w 114 SS *Standarte* we Włocławku wniosek o zwolnienie, motywując to swym religijnym światopoglądem. Wniosek został, acz niechętnie, uwzględniony, autor zgodził się jednak pracować w dalszym ciągu, mimo wystąpienia z SS, w pomocy społecznej. To stanowisko opuścił dopiero w dn. 7 X 1944 r. W r. 1943 wezwano go do wstąpienia do *Waffen SS*, czemu jednak odmówił. Także swoim synom nie pozwolił wstąpić do tej formacji. Jeden służył w obronie przeciwzołgowej, drugi przy spadochroniarzach.

A oblicze polityczne i moralne? Częściową odpowiedź na to pytanie dał nam już życiorys. Autor jest niewątpliwie zagorzałym Niemcem, jest przy tym człowiekiem o dużej odwadze cywilnej. Ma określoną postawę moralną. Z niej i wspomnianej odwagi zdaje się wyrastać jego decyzja o wystąpieniu z SS w obliczu wielkiej zbrodni, której był naocznym świadkiem. Autor pamiętnika twierdzi też, że w kwietniu 1944 przewodnicząc na zebraniu obrony przeciwlotniczej wystąpił publicznie przeciw demolowaniu krzyży, podjudzaniu młodzieży przeciw kościołowi i traktowaniu Polaków i że w dniu 1. 5. 1944 wysłał pod adresem namiestnika Greisera memoriał krytykujący stosunki w Polsce.

Humanitarna postawa autora występuje na każdej niemal karcie pamiętnika, nie tylko w rozdziale o zbrodni w Chełmnie nad Nerem, lecz także w po-

zostałych jego częściach. Pominiemy rozdział I poświęcony przedwojennej działalności autora w partii. Interesuje nas rozdział II mówiący o jego życiu wśród Polaków. Od pierwszej chwili swego pobytu w Polsce widzi autor okrucieństwa hitlerowskiej okupacji. W drodze do przyszłego miejsca pracy, w Poznaniu, jest świadkiem masowych wysiedleń, po przybyciu do nadleśnictwa Gaj dowiaduje się stopniowo o egzekucjach dokonywanych na Polakach w pobliskich lasach, równocześnie stwierdza, jak fałszywa jest niemiecka propaganda o Polsce. W swoją opowieść o okupacyjnych rządach wplata czasem wzmianki o pomocy, której udzielał.

Czy oblicze moralne autora, które odczytujemy z kart pamiętnika, odpowiada rzeczywistości? Przecież pamiętnik był pisany po przegranej wojnie, w chwili, gdy okropności hitlerowskich rządów wychodziły na jaw. Nie można było wówczas nie potępić tych zbrodni.

Oceniając pamiętnik z tej pozycji, wyrządilibyśmy krzywdę autorowi. Wspomniano już wyżej, że żyją jego polscy współpracownicy z czasów okupacji. Ich głos powinien być w tej sprawie decydujący. Ten głos jest dla autora bardzo pozytywny.

Osoby, które autor w swym pamiętniku wymienił, zostały przez pracowników Instytutu Zachodniego przesłuchane. Zapytane o stosunek nadleśniczego Heinza Maya do Polaków, przedstawiały one poszczególne przez niego opisane wypadki tak samo jak on je widział, choć pamiętnika nie znały. Przytaczały ponadto dalsze fakty, o których Heinz May nie wspomina, a świadczące również o wybitnie przyjaznym stosunku do Polaków. Postawa ta była zupełnie niezależna od zmiennego szczęścia wojennego, była taka sama od pierwszego do ostatniego dnia jego pracy w nadleśnictwie.

Chodziło o sprawy mniejszej wagi, jak zabranie Zenobii Rutowskiej świni przez Niemca z *Reichu*, i sprawy poważne, jak planowane zburzenie domu Natalii Andrzejewskiej (bo niemiecki wójt potrzebował cegieł na budowę chlewu), o wywóz na roboty przymusowe do Rzeszy podwładnych pracowników i członków ich rodzin, których w ostatniej niemal chwili wyciągał z transportów, wreszcie o sprawy życia i śmierci, jak aresztowanie pracowników Karnabala, Rybarczyka i Stamirowskiego, z których dwóch pierwszych zdołał wyrwać z rąk *gestapo*, czy też aresztowanie grożące leśniczemu Połuchowi, którego na czas ostrzegł o grożącym niebezpieczeństwie. Ani nadleśniczy May, ani jego żona, ani mieszkająca z nimi synowa nie przestrzegali nakazanego urzędowo dystansu w stosunku do Polaków. Właściwymi też słowy już wówczas jego rodzina kwalifikowała zbrodnię w Chełmnie nad Nerem.

Nie może więc ulegać wątpliwości, że wypowiedzi autora pamiętnika o okupacji w Polsce, w szczególności o zagładzie Żydów, są szczerze.

W jakim stopniu wzbogacają one naszą wiedzę? Obóz zagłady w Chełmnie nad Nerem był jedną z pierwszych spraw zbadanych z ramienia Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich przy Ministerstwie Sprawiedliwości. Już w pierwszej połowie 1945 r. sędzia śledczy rejonu Sądu Okręgowego w Łodzi, Władysław Bednarz, rozpoczął śledztwo, które niebawem wyjaśniło

wszystkie istotne kwestie: czas trwania akcji, personalia sprawców, sposób zagłady, liczbę ofiar*. Niewielu było świadków, którzy zagładę z bliska widzieli. Michał Podchlebnik był zatrudniony przy grzebaniu zwłok w styczniu 1942 r. W drodze do pracy zdołał uciec z krytego brezentem samochodu ciężarowego. Andrzej Miszczak, właściciel małego gospodarstwa w bezpośrednim sąsiedztwie obozu, starannie chował w swej pamięci wszystko, co widział i słyszał. Rozalia Peham, żona żandarma, który należał do załogi obozu w r. 1942 i 1943, znała pewne szczegóły z opowiadań męża. Mordka Żurawski pracował w obozie w r. 1944 i zdołał w ostatnim dniu okupacji (17 I 45), w toku likwidacji grupy żydowskich robotników, wyrwać się z rąk oprawców. Żandarm Bruno Israel należał do załogi obozowej w r. 1944 i wpadł w ręce władz polskich.

Dzieje zagłady w Chełmnie dzielą się na dwa bardzo wyraźne okresy. Pierwszy trwał od 8 XII 1941 r. do 11 IV 1943, kiedy po zburzeniu pałacu, do którego Żydów przywożono, niemal cała załoga Chełmno opuściła, drugi zaś rozpoczął się wiosną 1944 r. i trwał do końca okupacji. Główna akcja zagłady przypada na pierwszy okres, w którym — według sądowych ustaleń — zginęło około 350 000 Żydów, w drugim zamordowano 10 000 ofiar. W pierwszym okresie przywożono Żydów do pałacu w Chełmnie, kazano się im rozebrać i iść do kąpeli przed dalszym jakoby wyjazdem do obozu pracy. Rzekome pomieszczenie kąpielowe było w istocie wnętrzem wielkiego, specjalnie do tego celu zbudowanego samochodu ciężarowego, który mógł pomieścić około 100 osób. Po wejściu ludzi, drzwi szczelnie zamykano i wpuszczano do środka gazy spalinowej samochodu. Gdy po kilku minutach krzyki ofiar umilkły, samochód ruszał do oddalonego o 4 km lasu, gdzie z początku rzucono zwłoki do masowych grobów, później palono w specjalnych piecach krematoryjnych. W drugim okresie cała akcja — zapewne wskutek zburzenia pałacu w kwietniu 1943 r. — odbywała się w samochodach-komorach gazowych w samym lesie.

Wśród ofiar byli także Polacy, aczkolwiek w stosunkowo niewielkiej liczbie. W Chełmnie też zginęły, według wszelkiego prawdopodobieństwa, dzieci ze zburzonej w 1942 r. wsi czeskiej Lidice.

Bezpośrednim świadkiem całego przebiegu zagłady w pierwszym okresie, od pałacu w Chełmnie do grobów masowych, był jedynie wspomniany wyżej Michał Podchlebnik zatrudniony tam przy grzebaniu zamordowanych. Nie umiał on jednak nic powiedzieć o systemie palenia zwłok, którego wówczas jeszcze nie stosowano. Jedyne na ten temat informacje pochodzą od żony żandarma Rozalii Peham, która mogła dać tylko ogólnikowe w tej sprawie wiadomości zasłyszane od męża. System zagłady w drugim okresie opisało dwóch świadków, którzy całą akcję sami widzieli: żandarm Bruno Israel i więzień Mordka Żurawski.

* Władysław Bednarz, *Obóz straceń w Chełmnie nad Nerem*, Gł. Kom. Bad. Zbr. Niem. w Polsce, PIW, Warszawa 1946, także „Biuletyn” Gł. Kom. tom I. Por. B. Dąbrowska, *Zagłada Żydów w Kraju Warty*, „Biul. Żyd. Inst.” 1955, nr 13—14.

Nadleśniczemu Heinzowi Mayowi polecono z racji jego stanowiska zamaskować groby przez zasadzenie na nich nowych kultur leśnych. W związku z tym był on kilka razy na miejscu zagłady, widział przybywające tam samochody, grzebanie a potem palenie zwłok. Dowiedział się też od kierownika całej akcji Bothmanna szeregu szczegółów.

Wspomnienia Maya dotyczą wyłącznie pierwszego, głównego etapu zagłady, który znamy tylko z zeznań Michała Podchlebnika jako bezpośredniego świadka. W tych warunkach nadleśniczy May jest drugim żyjącym świadkiem, który tę akcję zagłady sam oglądał. Jest jedynym świadkiem, który widział palenie zwłok w głównym okresie zagłady i który z opowiadania Bothmanna zna różne przedtem w tym zakresie przeprowadzone próby. Jest on też jedynym świadkiem, który wie jak groby maskowano.

Między wspomnieniami Maya a wynikami dotychczasowych badań zachodzą pewne różnice. Nie będziemy ich wszystkich rozpatrywali, bo wydaje się nam, że byłoby to zgoła zbytecznym nurzaniem się w okropnościach. Wystarczy z wynikami śledztwa zestawić wspomnienia Maya (patrz niżej przypisy do tłumaczenia wyjątku z pamiętnika). Różnice pochodzą zapewne stąd, że każdy ze świadków w innym czasie oglądał akcję zagłady, choć jeden i drugi obserwował ją w pierwszym okresie (1942—43 r.).

Czy jednak autor pamiętnika nie został błędnie poinformowany, gdy twierdzi, że do komory gazowej ulatniał się tlenek węgla? W toku dotychczasowych badań bodaj udowodniono, że ofiary zabijano gazami spalinowymi, które specjalną rurą doprowadzano do wnętrza samochodu, przy czym dla zwiększenia ich siły dodawano zapewne do benzyny nieznaną truciznę. Kilku świadków Polaków mogło zapoznać się z konstrukcją samochodów z okazji napraw, których załoga we własnym zakresie nie mogła przeprowadzić. A może jednak autor ma rację, może to, co nam przekazuje, było innowacją, „ulepszeniem”?

Na podstawie pamiętnika Maya musimy poczynić pewne sprostowania: kierownik akcji zagłady nazywał się nie Bootmann, lecz Bothmann, tylko w pierwszym okresie ekipa morderców nosiła miano *Sonderkommando Kulmhof*, w drugim nazywała się *Sonderkommando Bothmann*, nie używano tych określeń — jak dotąd sądzono — zamiennie.

Pamiętnik Maya potwierdza rzecz bardzo ważną — liczbę ofiar. Słyszał on od Bothmanna w połowie 1942 r. liczbę 250 000 Żydów już zamordowanych, 100 000 miał obóz wówczas jeszcze pochłonać. Zgadza się to zupełnie z wynikami badań sędziego Władysława Bednarza, który z szeregu elementów wyrozumował, jak wspomniano, liczbę 350 000 głównego etapu zagłady.

Autor potwierdza nam również, że najwyższy zwierzchnik terytorialny tzw. Kraju Warty, *Gauleiter* i *Reichsstatthalter*, Artur Greiser, wizytował obóz w Chełmnie nad Nerem i że przy tej okazji obdarował członków załogi. Fakt ten, podany już w śledztwie przez kilku świadków, można również uznać za ostatecznie ustalony.

Poniżej wydrukowano tłumaczenie wyjątku pamiętnika dotyczącego za-

glądy Żydów w Chełmnie nad Nerem, tzn. całego rozdziału III, oraz oryginalny niemiecki tekst tej części. Przebitka oryginału pamiętnika zawiera szereg błędów maszynowych, ponadto słowa na prawym brzegu nie zostały w całości z powodu wąskiej zapewne kalki do końca odbite. Są to usterek, które w najmniejszym stopniu nie utrudniają odczytania pamiętnika i dlatego w przedruku ich nie uwidocznilo. W jednym miejscu zostawiono przy przepisaniu pamiętnika na maszynie w tekście wolne miejsce. Dodane w drodze rekonstrukcji słowo umieszczono w nawiasie. W przedruku uwidocznilo również strony oryginalnego maszynopisu. Nie poprawiono usterek stylistycznych i interpunkcyjnych. Są one zapewne wynikiem błędnego przepisania rękopisu autora na maszynie. W niemieckim tekście uwidocznilo również numery przypisków do polskiego tłumaczenia.

KAROL MARIAN POSPIESZALSKI

III. ROZDZIAŁ WIELKI MORD NA ŻYDACH

(s. 34) Jesienią 1941 r. zawiadomił mnie leśniczy rewiry Staegeimeir, który miał swą stałą siedzibę w leśnictwie Ladorudź, że do Chełmna przybyło specjalne komando i zażądało od niego drzewa opałowego. Mówiąc to Staegeimeir był dziwnie poważny, na co nie zwróciłem z początku większej uwagi. Marszałek Rzeszy Göring miał przybyć na polowanie z nagonką do powiatu Koło i dlatego przypuszczałem, że chodzi o komando, którego zadaniem jest ochrona marszałka. Polecilem urzędnikowi drzewo opałowe wydać.

W pewien czas później jechałem w towarzystwie Landrata i Kreisleiters Bechta z Chełmna do Koła. Gdy przejeżdżaliśmy przez las, powiedział Becht wskazując ręką w stronę rewiru 77: Pańskie drzewa będą wkrótce lepiej rosły. Kiedy spojrzałem na niego pytająco, odpowiedział, że Żydzi dają dobrą mierzwę. Chciałem dowiedzieć się czegoś bliższego. Becht był jednak bardzo tajemniczy i zmienił temat rozmowy¹.

Zastanawiałem się długo nad zagadkowymi aluzjami. Nie mogłem ich sobie jednak wytłumaczyć.

Z góry odrzuciłem rodzaje się u mnie podejrzenie, że ma być tutaj przeprowadzona jakaś straszliwa akcja przeciw Żydom, bo było to sprzeczne ze zdrowym rozsądkiem. Przypomniałem sobie znowu zachowanie się leśniczego Staegeimeira, nie miałem na nie wytłumaczenia i usiłowałem sprawę zapomnieć. Nie znałem przecież całej brutalności i okrucieństwa narodowosocjalistycznego reżimu.

Kilka tygodni później przyjechał mój najmłodszy syn ze szkoły na urlop. Wziąłem go ze sobą w podróż służbową, która prowadziła przez Koło—Chełmno. Przy rewirze 77 (szosa biegnie tuż obok jego granicy) leżał w rowie wielki zamknięty samochód ciężarowy. Drugi wóz był z przodu do niego doczepiony i próbował samochód znowu na drogę wciągnąć. Droga była przez to zagrodzona. Mój syn wyszedł z wozu i podszedł do grupy mężczyzn w mundurach policyjnych, którzy

¹ Osoba landrata Bechta nie została w pamiętniku ujemnie przedstawiona. Becht dowiedział się o wysłaniu przez Maya memoriału do Greisera (patrz wstęp) i przerażony informował autora o tym, jak został przyjęty: „Man hat beim Gauleiter Schlimmes gegen Sie vor. Washalb haben Sie mir den Bericht, den Sie an den Gauleiter schickten, nicht einmal vorher zu lesen gegeben?” (s. 33). Na podstawie wywiadu przeprowadzonego przez Instytut Zachodni w Kole należałoby Bechta uznać za osobę o biernym charakterze, nie wyróżniającą się ani w złym ani w dobrym, w odróżnieniu od jego poprzednika landrata Naumanna, który ma dobrą opinię u Polaków.

kręcili się koło pojazdu. Wkrótce potem usłyszałem jak ci urzędnicy besztali mego syna, wysiadłem również i udałem się do samochodów. Wóz, który leżał w rowie, miał ok. 4 m długości i 2 m wysokości^{1a}, tylna jego ściana była zamknięta na żelazną sztabę z wiczającą kiódką. Specyficzna, nieprzyjemna woń dochodziła od wozu i obok stojących mężczyzn.

Na moje zapytanie, czy droga będzie wkrótce wolna odpowiedziano mi nieuprzejmie, że oni skierują pojazd nieco w bok i że ja mam próbować przejechać.

W kilka dni później był mój syn w Kole. Wróciwszy stamtąd powiedział mi, że urzędnicy żandarmerii gromadzą tam Żydów i wywożą ich samochodami ciężarowymi. Przypomniałem sobie natychmiast powiedzenie Bechta i nie miałem już wątpliwości, że to w lesie Ladorudzi rozegra się ta straszna rzecz, w której realizację z początku nie mogłem uwierzyć. (s. 35)

Natychmiast zapytałem leśniczego Staegemeira telefonicznie, co się w jego leśnictwie dzieje. Odpowiedział, że rewir 77 został przez żandarmerię zupełnie otoczony. Kiedy w toku obchodu służbowego zbliżył się do posterunków, zwrócono mu uwagę, by natychmiast zawrócić i miejsce to opuścić, gdyż w przeciwnym razie musi liczyć się z zastrzeleniem.

Posterunki miały polecenie strzelania do każdego człowieka, który zbliży się do rewiru 77.

Więcej nie mógł mi Staegemeir przez telefon powiedzieć. Kazałem mu pozostać w domu i udałem się moim wozem zaraz do niego.

Widziałem na szosie dalsze zamknięte wozy, jak właśnie skręcały w rewir 77. Rewir ten obejmował gęsty las świerkowy i młode 12—15 letnie drzewa.

Staegemeir wyjaśnił mi, że w Chełmnie stacjonuje silny oddział żandarmerii. Pałac, który stoi na zachodnim skraju Chełmna, został otoczony wysokim drewnianym płotem. Przy wejściu stoją posterunki żandarmerii z karabinami. Bez przerwy wjeżdżają samochody ciężarowe z Żydami na podwórze pałacu i w tym samym porządku owe wysokie szczelnie zamknięte wozy jadą od pałacu do rewiru 77.

Na moje pytanie, co to wszystko oznacza, Staegemeir wzruszał ramionami mówiąc, że nie wie. Według obiegających pogłosek w pałacu truje się Żydów gazem i następnie grzebie się ich w rewirze 77. To jest pogłoska. Czy ona odpowiada rzeczywistości, tego nie wie. Prosił mnie usilnie, bym nie rozmawiał o tym z nikim, gdyż każdy, kto o tym mówi, ma być natychmiast rozstrzelany.

W drodze powrotnej do mego leśnictwa przejeżdżałem przez Chełmno i stwierdziłem, że informacje Staegemeira w sprawie drewnianego płotu i posterunków odpowiadają prawdzie. W Chełmnie stały jeden za drugim szereg prowizorycznie płachtami pokrytych samochodów ciężarowych. Na wozach stłoczono kobiety, mężczyzn, również dzieci. Kiedy się na chwilę zatrzymałem, doszedł do mnie zaraz żandarm i powiedział grubiańskim tonem, że postój jest wzbroniony i że mam jechać dalej. Żandarmi nie robili dobrego wrażenia, wyglądali na ordynarnych i okrutnych.

W ciągu mego krótkiego postoju zobaczyłem, że pierwszy samochód ciężarowy dojechał do drewnianego płotu i że wówczas obydwie posterunki bramę otworzyły. Wóz zniknął w podwoziu pałacowym, a bezpośrednio potem inny zamknięty wóz opuścił podwórze i pojechał w kierunku lasu, po czym obydwie posterunki zaraz bramę zamknęły.

Nie było już teraz najmniejszej wątpliwości, że rozgrywa się tutaj rzecz straszliwa, jakiej dzieje ludzkości jeszcze nie znały.

Przez wiele nocy nie mogłem oka zmrużyć. Nie miałem nikogo, z kim mógłbym o tym mówić. Było dla mnie jasne, że Becht był o tym poinformowany. Mógłby on, jako świadek złożyć ważne zeznania. (s. 36)

^{1a} Według ustaleń śledztwa czynne były trzy samochody; większy miał rozmiary 2,5—3 m szerokości, ok. 6 m długości, dwa mniejsze 2,3—2,5 m szerokości i 4,5—5 m długości. O wysokości samochodów ustalenia polskie nie wspominają (op. cit. s. 25).

Byłem oburzony tym, że zamknięto część terenu mego leśnictwa nie pytając mnie w ogóle, ani nie zawiadamiając mnie i dałem temu wyraz wobec urzędnika inspekcyjnego w czasie mej najbliższej wizyty w urzędzie leśnictwa. Także on uważał, że jest to oburzające postępowanie i radził mi złożyć zażalenie u *Landrata*. On sam chciał przedstawić sprawę krajowemu nadleśniczemu w Poznaniu.

Zrezygnowałem z zażalenia u *Landrata*, gdyż po tej rozmowie, którą miałem, uważałem je za bezcelowe. Czekałem raczej na interwencję krajowego urzędu leśnictwa. Lecz ten się do mnie nie odezwał. Było dla mnie jasne, że to, co się tutaj działo, było dziełem najwyższych władz.

Przy mej najbliższej wizycie w leśnictwie Ladorudź omówiłem z Staegemeirem tę sprawę wyczerpująco. Zapytałem się go, czy się jeszcze czegoś nie dowiedział.

Staegemeir zawiadomił mnie, że sekretarz *Amtskomisarza* z Chełmna (budynek ten znajdował się w sąsiedztwie starego pałacu) został przez komando aresztowany i znikł bez śladu². Podobno napisał coś o tym w liście.

W drodze powrotnej przejeżdżałem znowu przez Chełmno, jakkolwiek nadkładałem przez to drogi, i w przejeździe stwierdziłem, że drzwi położonego obok pałacu kościoła katolickiego są szeroko rozwarte i że w kościele leżą wielkie stopy używanej odzieży. Poza tym wszystko wyglądało tak jak poprzednio, w samym Chełmnie stał rząd autobusów naładowanych ludźmi, a na drodze do lasu wielkie zamknięte samochody ciężarowe. Wszędzie rozchodziła się ta sama wstrętna woń, którą poczułem po raz pierwszy przy przewróconym wozie. Znacznie później dowiedziałem się, że był to środek dezynfekcyjny przeciw tyfusowi plamistemu.

Naokoło pałacu mieszkali Niemcy i Polscy chłopcy, którzy tam pracowali i dzień w dzień ten tajemniczy ruch obserwowali.

Budynek *Amtskomisarza* został w międzyczasie opróżniony; mieściła się tam teraz część komando specjalnego.

Przy moim drugim przejeździe przez Chełmno widziałem czterech młodych ludzi związanych w kostce cienkim łańcuchem stalowym. Konwojował ich żandarm z karabinem. Ludzie ci byli wychudzeni i dreptali z otępiąym wyrazem twarzy po drodze.

Wśród ludności nie mówiono nic o tym, co się działo wewnątrz starego pałacu. A jednak było to publiczną tajemnicą.

Komando specjalne urządzało wielkie pijatyki. Wódka i koniak płynęły strumieniami.

Najpierw zgładzono Żydów z powiatu Koło. Wielu uciekło do innych powiatów. Okrutnego losu uniknęli tylko nieliczni, gdyż stopniowo przychodziła kolej na każdy powiat. Równocześnie przywożono do Chełmna Żydów z obozu łódzkiego chorych na tyfus plamisty lub o to podejrzanych.

Kiedy w okolicznych wsiach nie było już Żydów, transportowano Żydów do Koła koleją szerokotorową. Stamtąd szli oni pieszo do starego budynku przy lesie dworskim Powierze, skąd przewożono ich samochodami ciężarowymi do Chełmna³.

Podczas ostrej zimy 1941—42 widać było potworne rzeczy. Widziałem kolumnę tych nieszczęśliwych istot maszerującą przez Koło: mężczyzn, kobiety, dzieci, starców. Za kolumną jechał wóz zaprzęzony w konie, który miał zapewne podejmować tych, którzy już chodzić nie mogli. Niedaleko urzędu pocztowego widziałem jak kobieta, która nosiła na rękę małe, widocznie dopiero kilkumiesięczne dziecko, pośliznęła się i upadła. Dziecko było bodaj już na pół zamarznięte, gdyż nie

² Sędzia W. Bednarz pisze: „Sekretarz gminy Kaszyński pisał listy do przedstawicielstwa dyplomatycznego Szwajcarii i innych o masowym traceniu Żydów w Chełmnie... Jeden z listów został przejęty i Kaszyński zapłacił za swój szlachetny czyn życiem” (op. cit. s. 34).

³ Powinno być „Powiercie”. Por. op. cit., s. 18—19. Z dalszych wywodów H. Maya wynikałoby, że Żydzi szli z Powiercia pieszo, co zgadzałoby się z ustaleniami śledztwa (por. s. 38 oryginału pamiętnika).

słyszałem żadnego krzyku. Ktoś z eskorty schwytał dziecko za jedną nóżkę i rzucił je jak kłodę drewna na wóz.

Tych, którym ze strachu i zimna uginały się kolana i którzy nie mogli już dotrzymać kroku, popędzano brutalnymi uderzeniami kolbą.

Widziałem dwie ładne, dobrze ubrane dziewczyny, które wzięły między siebie starą wychudzoną kobietę. Była to pewnie ich matka. Obie dziewczyny z trudem wlokły kobietę. Gdy kobieta nie mogła już dalej iść i upadła na drodze, obie starały się postawić ją znowu na nogi. Przez to pozostały trochę za kolumną. Jeden z konwojujących żandarmów skoczył do nich natychmiast i krzyknął: „Obrzydliwe żydowstwo, chciecie może jechać!”

Przez wiele nocy przewracałem się na moim posłaniu, nie mogąc spać. Ciągłe ten straszliwy obraz stał przed moimi oczyma.

Ludzie spoglądali otepiali na ulicę i oglądali się za tym smutnym pochodem. Niemcy i Polacy. Nie mogę pojąć, że ludzie ci nie krzykną głośno z oburzenia i nie rzucą się na tę bestię.

Ale nie mam prawa się dziwić. Przecież sam też nic nie robię. Nieostrożne słowo oznacza śmierć. Nie ma wymiaru sprawiedliwości w Kraju Warty. Człowieka zabiera komando specjalne i po wszystkie czasy ginie o nim słuch.

Jedno jednak wiem. Nie będę już wierzył w Boga, gdyby ten reżim wygrał wojnę.

Później, zapewne by publicznie takie rzeczy się nie działy, transportowano ludzi z dworca Koło koleją wąskotorową do majątku Powierzy⁴, tutaj ich wyładowywano i prowadzono do wspomnianego samotnie położonego domu.

Kiedyś, gdy miałem służbowy interes w zarządzie majątku Powierzy, poszedłem przez park dworski do miejsca wyładunku kolei wąskotorowej i stojąc za wielkim krzakiem przez pewien czas obserwowałem, co się tam działo. Na drodze polnej za majątkiem formowano kolumnę. Kilku chorych leżało w trawie obok toru kolei wąskotorowej. Opiekowali się nimi inni, przynosili im coś do picia i w ogóle starali się im pomóc. Gdy kolumna została uformowana, zjawili się dwaj żandarmi i zmuszali chorych uderzeniami kolbą do powstania. Jeden z tych, którzy opiekowali się chorymi, woła oburzony: „Tak nie postępuje się nawet z bydłem”. Po wymowie poznałem, że to był Niemiec⁵. Żandarm kieruje pistolet w jego stronę. Myślę, że chce go przestraszyć, ale oto pada strzał. Człowiek pada na ziemię. Próbuje się jeszcze podnieść, pada jednak po raz drugi i leży z głową na torze. Jasno czerwona krew z pianą tryska z jego ust. Chorzy przerażeni podnoszą się i ślaniając się idą do kolumny. Jeden z nich jest na to za słaby i upada znowu. Znowu strzał i także ten już się nie rusza.

Żandarmi wyciągają czterech Żydów z kolumny. Muszą oni załadować obydwóch zabitych na samochód ciężarowy. Słyszę, jak jeden żandarm mówi: „Obrzydliwe świnie”.

Wiosną 1942 zostałem służbowo wezwany do krajowego urzędu leśnictwa, gdzie mi powiedziano, że mam zgłosić się w urzędzie *Reichsstatthaltera* u *SS Oberführera* dra Mehlhorna⁶. Udałem się do niego. *SS Oberführer* dr Mehlhorn powiedział mi,

⁴ Patrz s. 37 oryginału pamiętnika, wyżej przyp. 3.

⁵ Sędzia W. Bednarz pisze: „Transporty Żydów z zagranicy, które przychodziły bezpośrednio do Chełmna, były stosunkowo rzadkie. Żydzi zagraniczni przechodzili z reguły (tak samo jak Żydzi z Rzeszy) przez getto łódzkie... (w przypisku). Opierając się na danych statystycznych *Ghettoverwaltung* (scil. w Łodzi) w listopadzie i grudniu wysiedlono do getta — 512 Żydów z Luksemburga, 4 999 z Pragi, 4 999 z Wiednia, 5 389 z różnych miast Rzeszy, 4 055 z Berlina. Większość tych Żydów zginęła w pierwszej połowie maja 1942 (wyłącznie Żydów posiadających odznaczenia niemieckie i fachowców). Późniejsze transporty Żydów z zagranicy względnie z Rzeszy, jeśli nadchodziły — były niewielkie” (op. cit., s. 29—30).

⁶ *SS Oberführer* dr Mehlhorn należał do organizatorów urzędu *Reichsstatthaltera* Greisera w Poznaniu. We wrześniu 1939 podpisywał szereg „rozkazów sztabowych” dla pierwszego grona urzędników (I. Z. Dok. I—508). Według spisu decernentów urzędu *Reichsstatthaltera* (bez daty) pracował on jako *Oberregierungsrat* w wydziale I tego urzędu (I. Z. Dok. I—518).

że przecież wiem, co się w Chełmnie dzieje. Równocześnie zwrócił mi jeszcze raz uwagę na obowiązek zachowania ściszej tajemnicy, gdyż w przeciwnym razie nie uniknąłbym kary śmierci. Potem powiedział do mnie, że kierownik komando specjalnego SS *Sturmabführer* Bothmann ma nawiązać ze mną kontakt, bo chodzi o zasadzenie drzew na grobach w rewirze 77. Mehlhorn powiedział do mnie, że groby te trzeba za wszelką cenę dobrze zamaskować. Potem jeszcze dodał: „W najgorszym wypadku musimy ich również podać za zamordowanych *Volksdeutsche*”.

Ta wypowiedź wyjaśniła mi, w jaki sposób Goebbels doszedł do liczby 60 000 zamordowanych *Volksdeutsche*⁷. Przy fotografiach i reprodukcjach zamordowanych *Volksdeutsche* opublikowanych w czasopismach ilustrowanych chodziło zapewne po największej części o Polaków i Żydów, których w lasach zastrzelono.

Nadleśniczy Kranold z krajowego urzędu leśnictwa w Poznaniu opowiadał mi pewnego razu, że w lasach podlegających jego inspekcji zastrzelono 30 000 Polaków⁸.

Mehlhorn powiedział mi jeszcze, że rewir 77 trzeba płotem ogrodzić. Maskowanie jest rzeczą bardzo pilną i musi być zaraz przeprowadzone.

(s. 39)

Jakiś wyższy urząd wydał pewnie to polecenie. Stoi to może w związku z Katyniem. Jest to tylko przypuszczenie.

Po kilku dniach zjawiał się u mnie kierownik komando specjalnego, SS *Sturmabführer* Bothmann, aby omówić ze mną maskowanie. Widzę, że Bothmann nosi krzyż zasługi wojennej I klasy z mieczami.

Jadę z Bothmannem do rewiru 77. Przerażony wkraczam po raz pierwszy na to straszliwe miejsce.

Na polanie, która została przez wyrąb rozszerzona, widzę najpierw grób mniej więcej 200 m długości i 5 m szerokości. Grób jest pokryty ziemią na wysokość ok. 2 m. Nieco dalej znajduje się taki sam grób o długości ok. 50 m. Na innej polanie położonej ok. 50 m w bok znajduje się grób długości 150 m. Ten grób był na $\frac{3}{4}$ długości zasypały. Drugi koniec był jeszcze otwarty. Nie odważyłem się tam pójść i rzucić okiem. Wkrótce zjawiał się znowu zamknięty wóz, skierował się do otwartej części grobu i tyłem do jego skraju dojechał.

Wóz otworzono i wtedy zobaczyłem stos wypadających z niego nagich ciał ludzkich. Byłem około 80 m od wozu. Pod wodzą żandarma dobiegła grupa tam zatrudnionych, do połowy nagich robotników, aby zwłoki zrzucić do grobu⁹. Bothmann powiedział mi, że zwłoki układa się dokładnie warstwami; w przeciwnym razie grób pomieściłby za mało. W linii pionowej do tego grobu pracowała koparka z napędem motorowym i taśmą nad wykopaniem drugiego grobu. Przy pomocy motorowo napędzanej taśmy również groby zasypywano.

Na miejscu pracowało ok. 30 ludzi młodych względnie w średnim wieku. Wszyscy byli do połowy nady.

Bothmann powiedział mi, że co tydzień zmienia robotników. On każe ich również „rozłożyć” i wyszukuje ciągle nowe siły z nowo przybyłych transportów żydowskich. Robotnicy byli skuci przy kostce cienkim łańcuchem stalowym tak, by mogli tylko chodzić, lecz nie biegać.

Bothmann powiedział, że zdarza się często, iż ludzie już po jednym lub po kilku dniach mówią, że nie mogą tej pracy dalej wykonywać i proszą o strzał. Wówczas robi im on czerwonym ołówkiem krzyż na plecach. To stanowi dla straż-

⁷ Sprawa ta została wyjaśniona w pracy: K. M. Pospieszalski; *Sprawa 58 000 Volksdeutsche* (*The case of 58 000 Volksdeutsche*), *Documenta Occupationis VII*. Instytut Zachodni 1959.

⁸ Polskie badania nie doprowadziły do ustalenia dokładnej liczby zamordowanych. Liczba ta wydaje się być przesadzona.

⁹ Według zeznań Michała Podchlebnika zwłoki były przed wrzuceniem do grobów dokładnie badane w poszukiwaniu kosztowności (*op. cit.*, s. 43 i 16).

ników obozowych znak, że należy ich wieczorem zastrzelić. Kładą się wtedy twarzą ku ziemi i dostają z tyłu strzał w głowę. Bothmann daje znak krzyża także tym, którzy nie pracują pilnie. Widziałem, że robotnicy w przerwie jedli suchy chleb. Po przerwie popędzono ich kijami do pracy.

Dołączył się do nas jeszcze jakiś człowiek w mundurze *Hauptmanna* i wymienił swe nazwisko. Nie zachowałem go w mojej pamięci. Miał nabrzmiałą twarz pijaka i rozpustnika. Nosił on również krzyż zasługi wojennej I klasy z mieczami. Bothmann powiedział do mnie, że ten właśnie człowiek odpowiada za „pracę” w pałacu. On Bothmann ma kierownictwo nad całością.

Ów *Hauptmann* policji opowiadał, że wydał surowy nakaz zamykania wozów przed wyjazdem z pałacu wiszącą kłódką. Pewnego razu podczas jazdy otworzyły się drzwi i „ciepłe buleczki” spadły na drogę. Zaraz ją zamknięto, ale ludność cywilna zdołała jednak różne rzeczy zauważyć i w ten sposób niejedno dostało się do wiadomości publicznej.

(s 40)

Na polanach stały wszędzie posterunki z karabinami i pistoletami maszynowymi. Bothmann mówił, że są to znakomici strzelcy. Kilka razy zdarzały się ucieczki. Uciekinierzy nie uszli jednak daleko, gdy kula tych nigdy nie chybiających strzelców ich dosięgła. Kiedyś wieczorem przy odliczaniu przed wymarszem kogoś brakowało. Posterunki twierdziły, że nikt nie uciekł. Po długim szukaniu wykryto uciekiniera. Leżał pod wiązką chrustu. Został oczywiście na miejscu zgładzony.

Zamówiłem w hurtowni nasiennej większą ilość nasion jałowca, aby to miejsce obsiać. Między jałowiec miały być posadzone świerki i brzozy.

Nie mogłem powstrzymać się, by mojej żonie nie powiedzieć, co widziałem i słyszałem. Rzekała do mnie następnego dnia: „Czemu mi to powiedziałeś, teraz nocą nie mogę spać”. Żałowałem, że nie zachowałem milczenia. Ale do kogoś musiałem o tym mówić.

W towarzystwie Bothmanna znajdował się też jakiś człowiek w mundurze starszego sierżanta nazwiskiem Plaate¹⁰, który zrobił na mnie bardzo złe wrażenie.

Kiedy latem 1942 przy budowie ogrodzenia, będąc tam w towarzystwie Bothmanna, groby znowu zobaczyłem, rozpościerała się nad całym tym miejscem wstrętna silna słodkawa woń. Musiałem zatkać sobie nos i opuściłem to miejsce tak szybko, jak mogłem. Bothmann pokazał mi jeszcze wielkie okrągłe narośla, które utworzyły się na długich grobach. Przy dokładnym przyglądaniu się widać było w słońcu uchodzące z nich jasne opary. Bothmann mówił mi, że tam pochowano 250 000 ludzi. Jeszcze przynajmniej 100 000 miało tam również spocząć.

Pewnego dnia zjawił się Bothmann w leśnictwie i powiedział mi, że otrzymał od swych najwyższych zwierzchników polecenie spalania wszystkich zwłok. Część grobów już kazał odsłonić i próbuje spalać zwłoki bombami termitowymi. Teraz chce spróbować zrobić to samo przy pomocy drewna opałowego i zażądał wielkiej ilości. Przy spalaniu przy pomocy bomb termitowych wybuchł w lesie pożar, podczas którego spłonęła część gąszczy otaczającego groby. Zwęglonych drzew nie wolno było usunąć, gdyż w przeciwnym razie pole grobów stało by się od szosy widoczne.

W sprawie wydania drewna opałowego zwróciłem się do krajowego urzędu leśnictwa, gdzie mi powiedziano, że mam je dostarczyć.

Kazałem najpierw przetrzebić wszystkie do tego nadające się partie młodego lasu i w wyniku tego dostarczyłem wielkie ilości konarów i chrustu z gałęzi. To jednak nie wystarczyło. Musiałem dać drzewo twarde. Zużycie stało się w końcu tak wielkie, że przeszedłem do trzebieży w starszych rocznikach. Wszystko wskazywało na to, że najwyższe władze przywiązują wielką wagę do szybkiego przeprowadzenia tej akcji, gdyż zwłoki palono dniem i nocą.

(s. 41)

¹⁰ W śledztwie ustalono, że zastępcą Bothmanna był niejaki Platte (op. cit. s. 21).

Nad całą okolicą rozpościerała się miesiącami straszliwa woń. Przy zachodnim wietrze można było tę odrażającą woń wyczuwać aż do leśniczówki Bylice. Jest ona w linii powietrznej ok. 15 km od grobów oddalona.

Budując plot rozmawiałem raz z pewnym starszym wachmistrzem żandarmerii. Jeśli dobrze pamiętam, nazywał się on Lenz¹¹. Sprawiał wrażenie prostego skromnego człowieka. Interesował mnie jego stosunek do całej tej sprawy jako człowieka od wielu miesięcy zatrudnionego przy tych potwornościach.

Mówił o swej służbie tak jak gdyby wykonywał najbardziej przyzwoitą i uczciwą pracę. Opowiadał mi między innymi, że w ciągu pierwszej ostrej zimy 1941/42 praca była bardzo trudna, gdyż ziemia była głęboko przemarznięta i nie było jeszcze koparki motoru. Wówczas zgładzono najpierw chorych na tyfus płamisty. Nie można było ich wykorzystywać do wyładowywania zwłok, gdyż byli za słabi. Nie było innego wyjścia, jak zatrudnić przy tym młodych ludzi w wieku 14—16 lat. By uniknąć przeniesienia choroby, musieli oni pracować na placu bez odzieży. Temperatura wynosiła wtedy 20 stopni zimna i poniżej. Po otwarciu wozów na pół skostniaли chłopcy wdrapywali się do nich i kładli się na ciepłe zwłoki, aby się ogrzać. Przy pomocy kija musiał ich wyganiać.

Człowiek nieobeznany z tą sprawą może sądzić, że ma przed sobą opis pióra szaleńca. Mogę zapewnić, że jestem gotów wszystkie moje wypowiedzi pod przysięgą powtórzyć.

Idąc po raz drugi do grobów zabrałem ze sobą mały aparat fotograficzny, aby na placu ukradkiem zrobić kilka zdjęć. Nie mogłem jednak mego zamiaru wykonać, gdyż bez względu na to, gdzie stałem, zawsze byłem pod obserwacją strzelca i próba oznaczałaby niewątpliwą śmierć. Pomyślałem o sekretarzu z Chełmna.

Przez długi czas sądziłem, że Hitler o tych strasznych zbrodniach nic nie wie. Aż w jakiejś mowie przed *Reichstagem* pochwalił się wobec całego świata, że wytepił Żydów w całej Europie względnie że ich jeszcze zgładzi. Bodaj nigdy jeszcze w dziejach ludzkości ziemia nie widziała tak wielkiej zbrodni.

(s. 42) W restauracji „Riga” w Kole urządzono kilka razy dla komanda specjalnego wieczory koleżeńskie, przy których *Gauleiter* Greiser osobiście był obecny¹². Alkohol płynął strumieniami. Papierosy były bez ograniczeń. Greiser dawał specjalne urlopy i każdemu większą sumę pieniędzy na urlop.

Spalanie zwłok następowało po różnych próbach w mniej więcej 3 m głębokim kolistym dole o średnicy ok. 4 m wymurowanym na około kamieniami. W tym dole rozniecano silny ogień i do niego zwłoki po prostu rzucano. Nie spalone kości wyciągano i mielono na pył w młynie motorowym stojącym w drewnianym baraku. Nie wiem, dokąd tę mączkę kostną wywożono. Musiały jej być wielkie ilości¹³.

W toku mego ostatniego pobytu na polu cmentarnym, wówczas gdy wysiewano jałowiec, Bothmann pokazał mi młyn na kości. W baraku stał szereg pełnych worków. Bothmann powiedział do skutych ludzi, którzy tam byli zatrud-

¹¹ Kierownikiem „prac w lesie” był wachtmeister Lenz (op. cit., s. 31); pod jego nadzorem odbywało się badanie zwłok (s. 16).

¹² Świadkowie stwierdzają, że *Gauleiter* i *Reichsstathalter* Artur Greiser był w Chełmnie kilka razy (s. 32, 53, 58, 73). Rozalia Peham zeznała: „Na początku marca 1943 był w Chełmnie Greiser. Dla członków *Sonderkommando* urządzono przyjęcie, na którym Greiser wręczył każdemu z członków *Sonderkommando* 500 RM i zaprosił każdego na urlop na cztery tygodnie do swego majątku” (s. 58).

¹³ Nikt nie zeznawał dotychczas o spalaniu zwłok w pierwszym, głównym okresie głodów. W śledztwie świadkowie mówili o kominach, które górowały nad lasem (op. cit. s. 20 i 22). W sprawie mielenia kości w pierwszym okresie sędzia W. Bednarz pisze: „Przez pewien czas kości były prawdopodobnie mielone w maszynie młyńskiej (śrutowniku). Śledztwo ustaliło jedynie fakt sprowadzenia tej maszyny, pochodzącej z młyna na Zawadkach, na teren *Sonderkommando* i fakt zwrócenia jej już po zdezynfekowaniu” (op. cit., s. 20). W drugim okresie istnienia obozu (1944) popioły i szczątki kostne wrzucano do Warty (s. 21).

nieni: „Icek, przynieś garść mąki z worka”. Starszy człowiek pospieszył do jednego z worków i przyniósł dwie pełne garści śnieżno białej, drobno zmielonej mączki kostnej. Bothmann rzekł do niego: „Czy ty wiesz, co to jest?” Mężczyzna milczał i Bothmann znowu rzekł: „To są członkowie twojej rasy”. Człowiek ten powiedział z rezygnacją cicho: „No, cóż można zrobić”. Poznałem po wymowie, że był także Niemcem.

Podczas tej rozmowy na drugim końcu placu, gdzie znajdował się ogień, padło kilka strzałów z pistoletu. Kiedy potem tam przechodziłem, leżało obok ogniowego dołu pięciu co dopiero zabitych ludzi. Leżeli twarzą w górę. Na ukos przez twarz biegła wąska struga krwi. Zabito ich strzałem w głowę.

Przy spalaniu zwłok jeden z tych, którzy musieli zwłoki rzucać do ognia, prawdopodobnie w napadzie szału skoczył do środka. Jeden ze stojących w pobliżu żandarmów wołał: „strzelać, strzelać”. Posiadał może jeszcze odrobinę człowieczeństwa. Inny wołał: „Nie strzelać, chcemy zobaczyć jak długo będzie krzyczał”. Z zegarkiem w ręku stwierdzono, jak długo ów człowiek krzyczał aż zamilkł (opowiadanie samego Bothmanna, świadek: *Landrat* i *Kreisleiter* Becht).

Wszyscy ci zezwierzeceni brutale, inaczej nie można ich określić, byli zapewne kiedyś porządnymi ludźmi. Jako dzieci modlili się pewnie wraz z matką do Boga, chodzili na naukę religii i byli pewnie konfirmowani.

Co zrobił z nich narodowy socjalizm! W starym pałacu w Chełmnie zamordowano 250 000 ludzi, niemieckich i polskich obywateli. Rzecz rozgrywała się w ten sposób:

(s. 43)

Ludzi podzielonych według płci wprowadzano do pomieszczenia wyłożonego deskami i tam im mówiono, że mają się rozebrać i przygotować do kąpieli. Po rozebraniu się pędzono ich do obok znajdującego się niewielkiego pomieszczenia, w którym paliła się mała elektryczna żarówka. Stłoczono ich w jednym pomieszczeniu. Wówczas zamykano drzwi i gaszono elektryczne światło.

To małe pomieszczenie nie było niczym innym jak specjalnie do tego celu zbudowanym samochodem ciężarowym. W wozie umieszczono pojemniki z tlenkiem węgla, który po otwarciu wentyla przez wąskie rurki ulatniał się do wnętrza¹⁴.

Pierwsi ludzie, którzy wchodzili do tego małego pomieszczenia, wierzyli zapewne w to, że idą do prymitywnej łazienki. Tym, którzy później tam przybyli, było dobrze wiadome, co ich czeka. Według tego, co mówił Plaate, trzeba było ich kijami do tego pomieszczenia wpędzać.

Bothmann powiedział mi pewnego razu, że w okresach wielkiego ruchu „załatwiano” w ten sposób dziennie 3 000 ludzi¹⁵. Czy ludzie ci rzeczywiście już nie żyli, kiedy ich wrzucano do dołu? Nikt nie może na to pytanie odpowiedzieć.

Gdy groby zostały opróżnione i Żydzi zasiali nasiona jałowca, zasadzili sadzonki świerków i brzoź, owych pozostawionych przy życiu ludzi również zgładzono i spalono. Komando specjalne wyjechało pozostawiając tylko kilku ludzi. Stary pałac w Chełmnie wysadzono w powietrze i zrównano z ziemią, kamienie usunięto i gruzy rozrzucono tak, że ten, kto tej okolicy nie znał, nie mógł się domyśleć, że stał tam większy budynek¹⁶. Może wzniesie się w tym

¹⁴ Patrz wstęp *in fine*.

¹⁵ Według ustaleń śledztwa dziennie ginęło w Chełmnie przeciętnie 1 000 ludzi. Największe znane transporty wynosiły raz 2 600 osób (z zagranicy), drugi raz 2 800 osób (op. cit., s. 28).

¹⁶ W dniu 7 IV 1943 wysadzono w powietrze pałac i piec krematoryjne, dnia 11 IV 1943, *Sonderkommando*, wyjechało z Chełmna (op. cit., s. 28). Ze słów H. Maya można by wnioskować, że *Sonderkommando* skończyło swą działalność po opróżnieniu grobów i spalaniu znajdujących się tam ciał. Sędzia W. Bednarz stwierdza: „Po spaleniu ciał, uprzednio pogrzebanych w mogiłach, obóz w sierpniu 1942 (w przypisku: według kroniki getta łódzkiego) wznowił swoją działalność i przyjmował tak jak uprzednio, codzienne transporty ofiar. Odtąd zwłoki wyłącznie spalano w piecach krematoryjnych (op. cit., s. 21).

miejscu, gdzie ćwierć miliona niewinnych ludzi straciło życie, pomnik, który będzie przypominał jedno z najstraszniejszych wydarzeń w dziejach ludzkości.

Wiosną 1944 r. Bothmann ze swoim komando specjalnym nagle pojawił się znowu i ponownie zażądał wielkich ilości drewna opałowego. Ofiary przywożono teraz po odbudowie wysadzonego w powietrze mostu kolejką wąskotorową aż w bezpośrednie sąsiedztwo grobów. Gazowanie następowało na samym placu. Szczegółów nie znam, ponieważ nie miałem tam już dostępu. Komando nie nosiło już nazwy — jak wynika z nadruku na urzędowym blankiecie — komando specjalne Chełmno, lecz komando specjalne Bothmann.

(s. 44)

Chciałbym jeszcze wspomnieć o wydarzeniu, które miało miejsce przy gazowaniu na polu grobów w r. 1944 i które naświetla w całej jaskrawości zwiércząc brutalność Bothmanna.

Młoda kobieta, która ma wejść do komory gazowej, zaczyna dziko krzyczeć i ciągle powtarza: „Ja nie chcę się udusić, wolę być zastrzelona”. „To można zrobić, dziewczyno” — powiedział Bothmann, podniósł pistolet i strzelił.

Starsza kobieta o twarzy szarej z przerażenia i strachu prosi wraz z córką, by mogły siebie same zabić. Prosi o sznur. Bothmann rzuca jej ze stosu odzieży biustonosz. Córka kładzie się na ziemi, a matka rzuca jej pętlę naokoło szyi. Gdy matka pętlę zacisnęła, córka krzyknęła z przerażenia. Z szatańskim uśmiechem Bothmann ze swoimi katowskimi pacholkami temu się przypatrywał. „Nie prawda, jesteście jednak bardziej ludzcy, przecież nic, jak tylko do wozu” (własne wypowiedzi Bothmanna, świadek: *Landrat* i *Kreisleiter* Becht).

Bezpośrednim kierownikiem i przywódcą komando specjalnego był, jak powiedziałem, tylko Bothmann. Jego przełożonym służbowym i tym, który ponosił główną odpowiedzialność, był SS *Oberführer* Ramzoch? ¹⁷ Staralem się nieraz w kołach wyższych urzędników sprowadzić rozmowę na tę straszliwą akcję niszczycielską. Nie zrozumiała była dla mnie na zewnątrz okazywana obojętność, z którą przechodzono do porządku nad tą sprawą. Może obojętność ta była tylko maską, za którą czaił się strach, by się nie zdradzić i samemu tam nie zginąć. Przecież wszelkie prawo w Kraju Warty od dawna przestało obowiązywać. Jedno było tylko prawo. Były nim zarządzenia Greisera i jego katowskich pomocników.

III. KAPITEL

DER GROSSE JUDENMORD

(s. 34)

Im Herbst 1941 teilte mir der in der Försterei Ladorudz stationierte Revierförster STAEGEMEIR mit, dass in Kulmhof (Chełmo) ein Sonderkommando eingetroffen sei, welches Brennholz beantragt habe. Staegemeir machte bei der Mitteilung ein merkwürdig ernstes Gesicht, was ich zunächst nicht weiter beachtete. Da der Reichsmarschall Goering zu einer Treibjagd in den Kreis Kolo kommen sollte nahm ich an, es handelt sich um ein zum Schutze des Reichsmarschalls eingetropfen Kommando. Ich sagte dem Beamten er solle das Brennholz abgeben.

Einige Zeit später fuhr ich mit dem Landrat und Kreisleiter Becht vom Kulmhof nach Kolo. Als wir durch den Wald fuhren sagte Becht, mit der Hand nach der Abteilung 77 deutend: Bald werden Ihre Bäume besser wachsen. Als ich ihn darauf fragend ansah antwortete er, die Juden geben einen guten Dung. Ich wollte Näheres wissen, Becht tat aber sehr geheimnisvoll und fing ein anderes Gespräch an ¹.

Ich habe lange über die geheimnisvollen Andeutungen nachgedacht, fand aber keine Erklärung dafür.

Einen aufdämmernden Verdacht, dass hier eine furchtbare Aktion (gegen) die Juden durchgeführt werden solle, wies ich vor mir selbst zurück, da der gesunde Menschenverstand hier nicht mitmachen konnte. Mir fiel wieder das Benehmen des Revierförsters Staegemeir ein, ich fand keinerlei Erklärung dafür und versuchte die Sache zu vergessen. Ich kannte ja noch nicht das nationalsozialistische Regime in seiner ganzen Brutalität und Grausamkeit.

Einige Wochen später kam mein jüngster Sohn von der Schule auf Urlaub. Ich nahm ihn auf einer Dienstreise, welche über Kolo Kulmhof führte mit. Bei dem Jagen 77 (die

¹⁷ Ma być zapewne „Damzog” (inspektor Sipo i SD na „Kraj Warty”).

Strasse führt an der Grenze des Jagens vorbei) lag ein grosser, verschlossener Lastkraftwagen im Graben. Ein zweiter Wagen war davorgehängt und versuchte den Wagen wieder auf die Strasse zu ziehen. Die Strasse war hierbei abgesperrt. Mein Sohn stieg aus dem Wagen und ging zu den Männern, in Polizeiform gekleidet, die mit den Fahrzeugen beschäftigt waren. Ich hörte kurz darauf, dass mein Sohn von den Beamten angeschnauzt wurde, stieg aus und begab mich ebenfalls zu den Fahrzeugen. Der im Graben liegende Wagen war ein etwa 4 m langer und 2 m hoher^{1a} auf der Rückseite mit einer eisernen Schiene und einem Vorhängeschloss verschlossener Wagen. Ein eigentümlicher, unangenehmer Geruch strömte von dem Wagen und von den Männern aus.

Auf meine Frage, ob die Strasse bald wieder frei sein würde wurde mir in unfreundlicher Weise geantwortet, sie würden mit dem Fahrzeug etwas zur Seite fahren und ich solle sehen, dass ich durchkomme.

Einige Tage später war mein Sohn in Kolo. Bei seiner Rückkehr sagte er mir, dort würden die Juden durch Gendarmerie-Beamte zusammengetrieben und mit Lastwagen weggeführt. Mir fiel sofort wieder die Äusserung von Becht ein und ich hatte nun keinen Zweifel mehr, dass sich im Walde von Ladorudz jenes Furchtbare abspielen würde, was ich bei dem ersten auftauchenden Verdacht nicht glauben konnte.

(s. 35)

Auf eine sofortige telefonische Anfrage bei dem Revierförster Staegemeir was in seiner Försterei los sei sagte mir der Gendarmerie Beamte das Jagen 77 sei durch Gendarmerie vollkommen abgesperrt. Als er bei einem Dienstgang in die Nähe der Posten gekommen sei, haben ihm diese bedeutet, sofort umzukehren und diesen Ort zu verlassen, da er anderenfalls mit Erschiessung zu rechnen habe.

Die Posten hatten den Auftrag, auf jeden Menschen, der sich der Abteilung 77 näherte, zu schiessen.

Weiter konnte mir Staegemeir am Telefon nichts sagen. Ich forderte ihn auf zu Hause zu bleiben und fuhr sofort mit meinem Wagen zu seiner Dienststelle.

Auf der Strasse sah ich weitere verschlossene Wagen welche gerade in die Abteilung 77 einbogen. Bei der Abteilung 77 handelt es sich um einen dichten Kieferwald und Jungbestand von etwa 12 bis 15 Jahren.

Staegemeir erklärte mir, dass in Kulmhof eine starke Gendarmerieabteilung untergebracht sei. Das an dem Westausgang von Kulmhof stehende Schloss sei mit einem hohen Bretterzaun umgeben worden. Am Eingang stünden Gendarmerie Posten mit Gewehr. Ununterbrochen führen Lastautos mit Juden in den Hof des Schlosses und in gleicher Reihenfolge führen wieder diese hohen, völlig verschlossenen Wagen von dem Schlosse nach dem Jagen 77.

Auf meine Frage, was dieses denn alles zu bedeuten habe zuckte Staegemeir mit den Achseln und sagte, er wisse es nicht. Ein Gerücht laufe um, dass in diesem Schlosse Juden mit Gas vergiftet und in der Abteilung 77 begraben würden. Es sei dieses ein Gerücht. Ob es der Wahrheit entspreche, wisse er nicht, bat mich aber dringend, über die Sache zu keinem Menschen zu sprechen, da jeder, der davon rede, sofort erschossen würde.

Auf der Rückfahrt zum Forstamt fuhr ich über Kulmhof und fand die Angaben Staegemeirs bezüglich des Bretterzaunes und der Posten bestätigt. In Kulmhof selbst standen hintereinander mehrere Lastwagen, welche mit Tüchern provisorisch verkleidet waren. Auf den Wagen befanden sich dicht gedrängte Männer, Frauen und auch Kinder. Als ich einen Augenblick verhielt, kam sofort ein Gendarm auf mich zu und sagte im groben Ton das Halten sei verboten, ich solle sofort weiterfahren. Die Beamten machten keinen guten Eindruck, sie sahen roh und grausam aus.

Bei meinem kurzen Halten hatte ich gesehen, dass der vordere Lastwagen an den Bretterzaun fuhr worauf die beiden Posten das Tor öffneten. Der Wagen verschwand im Schlosshof, unmittelbar darauf verliess ein anderer verschlossener Wagen den Hof und fuhr in der Richtung nach dem Wald, worauf die beiden Posten das Tor sofort wieder verschlossen.

Es bestand nun nicht mehr der geringste Zweifel, dass sich hier etwas in der Menschheit noch nie dagewesenes Grauensvolles abspielte.

Viele Nächte konnte ich nicht schlafen. Ich hatte auch keinen Menschen mit dem ich mich darüber unterhalten konnte. Soviel war mir klar, dass Becht über diese Vorgänge unterrichtet war. Er würde auch als Zeuge wichtige Aussagen machen können.

(s. 36)

Ich war empört darüber, dass man einen Teil meines Forstamtes abspernte ohne mich zu fragen oder auch mir überhaupt nur eine Mitteilung davon zu machen und teilte dieses dem Inspektionsbeamten bei meiner nächsten Anwesenheit im Forstamt mit. Auch er fand

dieses Verhalten empörend und riet mir, mich beim Landrat zu beschweren. Er selbst wolle die Sache dem Landforstmeister in Posen vortragen.

Ich selbst sah von einer Beschwerde beim Landrat ab, da ich mir nach der stattgefundenen Unterhaltung keinerlei Erfolge davon versprach. Ich wartete vielmehr ein Einschreiten des Landesforstamtes ab. Aber auch von dort hörte ich nichts mehr. Ich war mir klar dass das, was hier geschah, von hohen Dienststellen veranlasst war.

Bei meiner nächsten Anwesenheit in der Försterei Ladorudz unterhielt ich mich eingehend mit Staegemeir über die Vorgänge und fragte ihn, ob er noch etwas erfahren habe.

Staegemeir teilte mir mit, dass der Sekretär des Amtskommissars von Kulmhof (das Gebäude befand sich in der Nähe des alten Schlosses) von dem Kommando verhaftet und spurlos verschwunden sei². Er solle von den Vorgängen etwas in einem Brief geschrieben haben.

Ich fuhr auf dem Rückweg wieder durch Kulmhof, obwohl dieses für mich einen Umweg bedeutete, und sah im Vorbeifahren, dass die Türen der neben dem Schlosse gelegenen katholischen Kirche weit geöffnet waren und in der Kirche grosse Haufen von getragenen Kleidungsstücken lagen. Das übrige Bild war dasselbe wie ich es vorher gesehen hatte. In Kulmhof selbst eine Reihe von Omnibussen vollgepfert mit Menschen und auf der Strasse nach dem Walde die verschlossenen grossen Lastkraftwagen. Überall lag in der Luft der gleiche widerliche Geruch, den ich zuerst bei dem umgestürzten Wagen wahrgenommen hatte. Wie ich viel später erfuhr war es ein Schutzmittel gegen Flecktyphus.

Um das Schloss herum in Kulmhof selbst wohnten deutsche und polnische Bauern welche ihrer Arbeit nachgingen und die geheimnisvollen Vorgänge täglich beobachteten.

Das Gebäude des Amtskommissars war inzwischen geräumt und von einem Teil des Sonderkommandos bezogen worden.

Bei dieser zweiten Fahrt durch Kulmhof sah ich vier junge Menschen welche an den Knöcheln mit dünnen Stahlketten gefesselt waren und von einem Gendarmerie-Beamten mit Gewehr begleitet wurden. Die vier Menschen waren abgemagert und trotteten mit stumpfsinnigem Gesicht über die Strasse.

In der Bevölkerung sprach man über das, was sich im Inneren des alten Schlosses abspielte kein Wort und doch war es ein öffentliches Geheimnis geworden, was sich hier abspielte.

(s. 37)

Von dem Sonderkommando wurden grosse Saufgelage durchgeführt. Schnaps und Cognac floss in Strömen.

Es wurden zunächst die im Kreise Kolo befindlichen Juden umgebracht. Viele flüchteten in andere Kreise, aber dem grauenvollen Schicksal entgingen ja nur wenige, da ja ein Kreis nach dem anderen an die Reihe kam. Zugleich wurden die im Lager Lodz zusammengepfertchten Juden, welche Flecktyphuskrank oder verdächtig waren, nach Kulmhof gebracht.

Als sich in den umliegenden Dörfern keine Juden mehr befanden erfolgte der Abtransport mit der Vollspurbahn bis Kolo. Von dort ging es im Fussmarsch zu einem alten Gebäude bei dem Gutswald Powierzy, von wo die Juden mit Lastkraftwagen nach Kulmhof befördert wurden³.

In dem strengen Winter 1941/42 gab es grauenvolle Bilder. Ich sah einen Zug dieser unglücklichen Menschen durch Kolo marschieren. Männer, Frauen, Kinder und Greise. Hinter der Kolonne fuhr ein Pferdewagen, welcher anscheinend die Marschunfähigen aufnehmen sollte. Ich sah in der Nähe des Postamtes, wie eine Frau, die ein kleines anscheinend erst einige Monate altes Kind auf dem Arm trug, ausglitt und hinfiel. Das Kind war wohl schon halb erfroren, denn ich hörte kein Schreien. Ein Mann von der Begleitmannschaft packte das Kind an einem Bein und schleuderte es wie ein Stück Holz auf den Wagen.

Einige, denen vor Angst und Kälte die Kniee schlotterten und mit dem Zuge nicht mehr richtig Schritt halten konnten, wurden durch rohe Kolbenstösse vorwärts getrieben.

Ich sah zwei hübsche gutgekleidete Mädels, welche eine abgemagerte Frau in ihre Mitte genommen hatten. Es war wohl ihre Mutter. Die beiden Mädels schleppten die Frau mühsam weiter. Als es nicht mehr ging und die Frau auf der Strasse zusammenbrach, bemühten sich die beiden Mädels um sie wieder auf die Beine zu bringen. Dabei blieben sie etwas hinter dem Zug zurück. Einer der begleitenden Gendarmen sprang sofort auf die Gruppe zu und schrie: „Dreieckiges Judenpack!“, ihr wollt wohl gefahren sein“.

Viele Nächte wälzte ich mich ruhelos auf meinem Lager. Ich konnte nicht schlafen. Immer wieder stand dieses furchtbare Bild vor meinen Augen.

Stumm stehen die Menschen auf den Strassen und sehen diesem traurigen Zuge nach. Deutsche und Polen. Ich kann es nicht verstehen dass diese Menschen nicht alle aufschreien in wilder Empörung und diese Bestie auseinanderschlagen.

Aber habe ich ein Recht mich darüber zu wundern. Ich selbst tue ja auch nichts. Ein falsches Wort bedeutet den Tod. Eine Rechtssprechung hat im Warthegau aufgehört. Der Betreffende wird von dem Sonderkommando geholt und bleibt für alle Zeiten ausgelöscht.

Aber eines weiss ich, ich werde nie mehr an einen Herrgott glauben, wenn dieses Regime diesen Krieg gewinnen sollte.

Später wurden, wohl um der Öffentlichkeit diese Bilder zu entziehen, die Menschen von dem Bahnhof Kolo aus mit der Kleinbahn bis zu dem Gut Powierzy⁴ gefahren, hier ausgeladen und in das vorher erwähnte, einsam gelegene Haus gebracht.

Als ich einmal dienstlich bei der Gutsverwaltung Powierzy zu tun hatte, ging ich durch den Gutspark zu der Ausladestelle der Kleinbahn und beobachtete das Treiben, hinter einer Hecke stehend einige Zeit. Die Menschen wurden auf einem Feldweg hinter dem Gut zu einem Zuge zusammengestellt. Einige Kranke lagen neben dem Kleinbahngleise im Gras. Sie wurden von anderen betreut, die ihnen etwas zu trinken brachten und versuchten ihnen Erleichterung zu verschaffen. Als der Zug zusammengestellt war, erschienen zwei Gendarmerie-Beamte und trieben die Kranken mit Kolbenstössen auf. Einer, welcher sich um die Kranken bemüht hatte, ruft empört: „So geht man ja nicht mit Vieh um“. An der Sprache hörte ich, dass es ein Deutscher war⁵. Der eine Beamte hebt die Pistole gegen den Rufenden. Ich denke er will ihm Angst machen, aber da fällt auch schon der Schuss. Der Mann fällt zusammen. Er versucht sich wieder zu erheben, fällt aber wieder um und bleibt mit dem Kopf auf dem Geleise ruhend, liegen. Hellrotes, schaumiges Blut quoll aus seinem Munde. Entsetzt rafften sich die Kranken auf und wanken zu dem Zuge. Einer schafft es nicht und fällt wieder hin. Wieder ein Schuss, auch er erhebt sich nicht mehr.

Die Beamten holen vier Juden aus dem Zug. Sie müssen die beiden Erschossenen auf einen dabeistehenden Lastkraftwagen laden. Ich höre wie der eine Beamte sagt: „Dreckige Schweine“.

Im Frühjahr 1942 wurde ich dienstlich an das Landesforstamt Posen befördert*. Dort wurde mir mitgeteilt, ich solle mich in der Reichsstatthalterei bei SS-Oberführer Dr. Mehlhorn⁶ melden. Ich begab mich dorthin. SS-Oberführer Dr. Mehlhorn sagte mir, ich wisse ja wohl, was in Kulmhof gemacht würde. Zugleich wies er mich nochmal auf strenge Geheimhaltung hin, da im anderen Falle die Todesstrafe unvermeidlich sein würde. Dann sagte er mir, dass der Leiter des Sonderkommandos SS-Sturmbannführer Bothmann, beauftragt sei, sich mit mir in Verbindung zu setzen zwecks Aufforstung der in der Abteilung 77 angelegten Gräberfelder. Mehlhorn sagte mir, diese Gräber müssten unter allen Umständen sicher getarnt werden. Er setzte noch hinzu: „Im schlimmsten Falle müssen wir auch die noch als ermordete Volksdeutsche ausgeben.“

Aus diesem Ausspruch wird mir klar, wie Goebbels zu den ermordeten 60 000 Volksdeutschen gekommen ist⁷. Bei den Photographien und in den Illustrierten Zeitungen veröffentlichten Bildern von erschossenen Volksdeutschen hat es sich zum grössten Teil wohl um Polen und Juden gehandelt, welche man in den Wäldern erschossen hat.

Oberforstmeister Kranold vom Landesforstamt Posen erzählte mir einmal, dass in den Waldungen seiner Inspektion 30 000 Polen erschossen worden seien⁸.

Mehlhorn sagte mir noch, das Jagen 77 müsse mit einem Stangenzaun umgeben werden. Die ganze Tarnung eile sehr und müsse sofort durchgeführt werden.

Die Anweisung kam scheinbar von höherer Stelle. Vielleicht steht sie im Zusammenhang mit Katyn. Es ist dieses jedoch nur eine Vermutung von mir.

Nach einigen Tagen erschien der Leiter des Sonderkommandos, SS-Sturmbannführer Bothmann bei mir um die Durchführung der Tarnungsarbeiten mit mir zu besprechen. Ich sehe, dass Bothmann das Kriegsverdienstkreuz I. Klasse mit Schwertern trägt.

Ich fahre mit Bothmann zusammen nach dem Jagen 77 und betrete mit Grauen zum ersten Male diese furchtbare Stätte.

Auf einer Blösse, welche durch Abholzung erweitert war, sehe ich zunächst ein Grab von etwa 200 Meter Länge und 5 Meter Breite. Das Grab ist mit einem etwa 2 Meter hohen Erdaufwurf bedeckt. Etwas weiter befindet sich ein gleiches Grab von etwa 50 Meter Länge. Auf einer anderen, etwa 50 Meter abseits gelegenen Blösse befindet sich ein Grab von etwa 150 Meter Länge. Dieses Grab war etwa $\frac{3}{4}$ seiner Länge bedeckt. Das mir abgewandte Ende war noch offen. Ich wagte nicht dorthin zu gehen und einen Blick hineinzuwerfen. Bald darauf erschien wieder ein verschlossener Wagen, welcher an die offene Stelle des Grabes fuhr und rückwärts bis dicht an das Grab heransteuerte.

* ma być zapewne „beordert“.

(s. 38)

(s. 39)

Der Wagen wurde geöffnet und ich sah einen Haufen nackter Menschenleiber herauskollern. Ich stand etwa 80 Meter von dem Wagen entfernt. Unter Führung eines Beamten eilten eine Anzahl beschäftigter Arbeiter mit nacktem Oberkörper hinzu um die Leichen in das Grab zu werfen⁹. Bothmann sagte mir dass sie genau geschichtet würden, da sonst zu wenig hineingingen. Senkrecht zu diesem Grab arbeitete ein Bagger mit Motorantrieb und Förderband an der Ausschachtung eines weiteren Grabes. Das Abdecken der Gräber erfolgte ebenfalls mit einem durch Motor angetriebenen Förderband.

Auf dem Platz arbeiteten etwa 30 Menschen jungen und mittleren Alters. Sie arbeiteten alle mit entblösstem Oberkörper.

Bothmann sagte mir, dass er jede Woche die Arbeiter auswechsele. Sie würden „umgelegt“ und er suche sich immer wieder neue Arbeitskräfte aus den neuantransportierten Juden. Die Arbeiter waren mit dünnen Stahlketten gefesselt an den Knöcheln, das sie gehen, aber nicht schnell laufen konnten.

Bothmann sagte, es komme öfter vor dass Menschen schon nach einem oder mehreren Tagen sagen würden, sie könnten die Arbeit nicht weiter ausführen und bäten um ihre Erschiessung. Er mache ihnen mit einem Rotstift ein Kreuz auf den Rücken. Das sei für die Wachmannschaft ein Zeichen dieselben abends zu erschiessen. Sie müssten sich mit dem Gesicht der Erde zugewandt auf den Boden legen und würden mit einem Kopfschuss von hinten erledigt. Ein Kreuz bekämen auch von ihm diejenigen, welche nicht fleissig arbeiteten. Ich sah die Arbeiter während einer Pause trockenes Brot essen. Mit Stöcken wurden sie nach Beendigung der Pause wieder zur Arbeit getrieben.

Über den Platz kam noch ein Mann in Hauptmannsuniform hinzu und nannte seinen Namen. Ich habe ihn nicht behalten. Der Mann hatte das aufgedunsene Gesicht eines Säufers und Wüstlings. Er trug ebenfalls das Kriegsverdienstkreuz I. Kl. mit Schwertern. Bothmann sagte zu mir, derselbe sei für die „Arbeit“ im Schlosse verantwortlich. Er, Bothmann habe die Leitung des Ganzen.

(s. 40)

Der Polizeihauptmann erzählte, dass er strenge Anweisung gegeben habe die Wagen vor der Ausfahrt aus dem Schloss mit einem Vorhängeschloss zu verschliessen. Unterwegs seien die rückwärtigen Türen aufgegangen und die „warmen Brötchen“ seien auf die Strasse gefallen. Man habe die Strasse zwar sofort abgesperrt, aber die Zivilbevölkerung habe doch Verschiedenes gesehen und dadurch sei manches in die Öffentlichkeit gekommen.

Auf den Blössen standen überall Posten mit Gewehr und Maschinenpistolen. Bothmann sagte mir, es seien hervorragende Schützen. Er sagte weiter, es sei mehrmals vorgekommen, dass welche versuchten wegzulaufen. Aber sie seien nicht weit gekommen, da habe sie die Kugel dieser sicheren Schützen erreicht. Einmal habe abends beim Abmarsch bei der Abzählung einer gefehlt. Die Posten behaupteten niemand sei weggelaufen. Nach langem Suchen habe man entdeckt er habe unter einem Reisigbündel gelegen. Er sei selbstverständlich sofort umgelegt worden.

Ich bestellte bei einer Sammelstelle eine grössere Menge Ginstersamen um den Platz damit einzusäen. Dazwischen sollten Kiefern und Birken gepflanzt werden.

Ich konnte mich nicht enthalten, meiner Frau von dem Geschehenen und Gehörten zu erzählen. Sie sagte mir am nächsten Tage warum hast du mir das erzählt, jetzt kann ich nachts nicht mehr schlafen. Es tat mir leid, dass ich nicht geschwiegen hatte. Aber ich musste zu irgend einem Menschen einmal über die Dinge sprechen.

In der Begleitung von Bothmann befand sich noch ein Mann in der Uniform eines Hauptwachmeisters namens *Plaat*¹⁰, welcher einen sehr ungünstigen und verschlagenen Eindruck machte.

Als ich bei der Herstellung eines Stangenzaunes im Sommer 1942 mit Bothmann zusammen die Grabstätten wieder sah, lag über dem ganzen Platz ein widerlicher süsslich-starker Geruch. Ich musste mir die Nase zuhalten und verliess so schnell wie möglich wieder den Platz. Bothmann ziegte mir noch grosse runde Wülste, die sich auf den langen Gräbern gebildet hatten, aus diesen sah man im Sonnenschein bei genauem Hinsehen einen hellen Dunst aufsteigen. Bothmann sagte mir, dass 250 000 dort begraben lagen. Es gingen aber noch mindestens 100 000 auf den Platz.

Eines Tages erschien Bothmann auf dem Forstamt und sagte mir er habe von hoher Stelle Anweisung, sämtliche Leichen zu verbrennen. Er habe einen Teil der Gräber bereits freilegen lassen und versucht die Leichen mit Termit-Bomben zu verbrennen. Er wolle nun versuchen die Sache mit Brennholz durchzuführen und forderte grosse Mengen Brennholz. Bei dem Abbrennen mit Thermit-Bomben wurde ein Waldbrand verursacht bei dem ein Stück der das Gräberfeld umgebenden Dichtung abbrannte. Die verkohlten Bestände durften

nicht abgeholzt werden, da sonst ein Einblick auf das Gräberfeld von der Strasse her möglich gewesen wäre.

Wegen Abgabe des beantragten Brennholzes wandte ich mich an das Landesforstamt, wo mir bedeutet wurde, das Holz abzugeben.

Ich liess erst alle nur möglichen Jungbestände durchforsten und lieferte grosse Mengen Stangen und Astreisig. Dieses reichte jedoch nicht aus und ich musste Derbholz liefern. Der Verbrauch wurde schliesslich so gross, dass ich dazu übergang Kahlschäge in selteren * Beständen durchzuführen! An hoher Stelle legte man auf die schnelle Durchführung allem Anschein nach den grössten Wert, da die Verbrennung bei Tag und Nacht durchgeführt wurde.

Über der ganzen Umgebung lag monatelang ein furchtbarer Geruch. Bei Westwind konnte man den widerlichen Geruch bis zum Forsthaus Bilice wahrnehmen. Dieses liegt etwa 15 km Luftlinie von den Grabstätten entfernt.

Bei der Herstellung des Stangenzaunes unterhielt ich mich einmal mit einem Gendarmerie-Hauptwachmeister. Wenn ich mich recht entsinne, hiess er Lenz¹¹. Derselbe machte den Eindruck eines einfachen biederen Mannes. Es interessierte mich, zu erfahren, wie er, der seit vielen Monaten bei dieser furchtbaren Beschäftigung tätig war, zu der ganzen Sache stünde. Er sprach von diesem Dienst so, als ob er die anständigste und ehrlichste Arbeit verrichtete. Er erzählte mir unter anderem, dass in dem ersten strengen Winter 1941/42 es sehr schwer gewesen sei, da damals die Erde sehr tief gefroren war und man noch keinen Bagger und Motor hatte. Zuerst seien damals die Flecktyphuskranken beseitigt worden. Zum Ausladen der Leichen habe man diese Kranken nicht verwenden können, da sie zu schwach waren. Es sei nichts anderes übrig geblieben, als zuletzt Jungen von 14 bis 16 Jahren dazu heranzuziehen. Sie hätten wegen Übertragung der Krankheit ohne Kleidung auf dem Platz arbeiten müssen. Es wurden zu der Zeit Temperaturen von 20 Grad Kälte und darunter gemessen. Bei der Öffnung der Wagen seien die halberstarrten Jungen in den Wagen geklettert und haben sich auf die warmen Leichen gelegt um Wärme zu finden. Mit einem Stock habe er sie heraufstreifen müssen.

Der Laie wird vielleicht glauben die Niederschrift eines Wahnsinnigen vor sich zu haben. Aber ich kann nur versichern, dass ich bereit bin sämtliche Aussagen unter Eid zu wiederholen.

Bei meinem zweiten Betreten der Grabstätte nahm ich einen kleinen Fotoapparat mit um auf dem Platz verstohlen einige Aufnahmen zu machen. Es war mir jedoch unmöglich mein Vorhaben durchzuführen da man, ganz gleich wo man stand, von einem Scharfschützen beobachtet wurde und die Durchführung unweigerlich den Tod bedeutet hätte. Ich dachte an den Sekretär von Kulmhof.

Ich hatte lange Zeit geglaubt, dass Hitler von diesen furchtbaren Verbrechen keine Kenntnis habe bis er sich dann in einer Reichstagsrede vor aller Welt brüstete die Juden in ganz Europa ausgerottet zu haben bzw. noch ausrotte. Es ist wohl noch nie in der Menschengeschichte ein Verbrechen von solchem Ausmass über die Erde gegangen.

In Kolo in der Gaststätte „Riga“ wurden einige Male kameradschaftliche Abende des Sonderkommandos durchgeführt bei denen Gauleiter Greiser persönlich anwesend war¹². Der Alkohol floss dabei in Strömen. Rauchwaren waren unbeschränkt. Greiser gab Sonderurlaub und jedem eine grössere Geldsumme für den Urlaub.

Die Durchführung der Leichenverbrennung erfolgte nach mancherlei Versuchen in einem etwa 3 Meter tiefen kreisrunden Erdloch von etwa 4 Meter Durchmesser, welches rundum mit Steinen ausgemauert war. In dem Loch wurde ein starkes Feuer errichtet und die Leichen einfach hineingeworfen. Die nicht verbrannten Röhrenknochen wurden herausgeholt und auf einer, in einer errichteten Holzbaracke aufgestellten Kunstmühle mit Motorantrieb zu Staub vermahlen. Wohin dieses Knochenmehl verbracht wurde, ist mir nicht bekannt. Es mussten grosse Mengen gewesen sein¹³.

Bei meiner letzten Anwesenheit auf dem Gräberfeld bei welcher die Aussaat des Ginster-samens durchgeführt wurde, zeigte mir Bothmann die Knochenmühle. In der Baracke standen eine Anzahl gefüllter Säcke. Bothmann sagte zu einem der dort gefesselt beschäftigten Männer: „Izig, hol mal eine Hand voll Mehl aus dem Sack“. Der ältere Mann eilte zu einem Sack und brachte zwei Hände voll schneeweisses, feingemahlens Knochenmehl. Bothmann sagte zu ihm: „Weisst du auch was das ist“. Der Mann schwieg und Bothmann sagte ihm: „Das sind deine Rassegenossen“. Der Mann sagte still und ergeben: „Nun, was kann man machen“. Ich hörte an der Stimme, dass auch er ein Deutscher war.

* ma być zapewne „älteren“.

(s. 41)

(s. 42)

Während dieser Unterhaltung hörte ich am anderen Ende des Platzes wo sich das Feuer noch befand einige Pistolenschüsse. Als ich nachher dort vorbeikam lagen neben dem Feuerloch 5 soeben erschossene Menschen. Sie lagen mit dem Gesicht nach oben. Quer über das Gesicht lief ein dünner Blutstreifen. Sie waren durch Kopfschuss getötet worden.

Bei dem Verbrennen der Leichen in den offenen Gruben sprang, vielleicht vom Wahnsinn befallen, einer von den Männern, welcher die Leichen in das Feuer werfen musste, plötzlich von dem Rande der Grube aus in das Feuer. Einer von den umstehenden Beamten schrie auf „schiessen, schiessen“. Vielleicht war es einer der noch ein winziges Fünkchen von Menschlichkeit besass. Ein anderer schrie: „nicht schiessen, wir wollen sehen wie lange er schreit“. Mit der Uhr in der Hand stellte man fest, wie lange der Mann schrie, bis er verstummte. (Eigene Aussage von Bothmann; Zeuge: Landrat und Kreisleiter Becht).

Alle diese vertierten Rohlinge, anders kann man sie unmöglich bezeichnen, sind doch wohl einmal ordentliche Menschen gewesen. Sie haben doch wohl einmal als Kinder unter Anleitung ihrer Mutter zum Herrgott gebetet, haben Religionsunterricht gehabt und sind konfirmiert worden.

(s. 43) Was hat der Nationalsozialismus aus ihnen gemacht. In dem alten Schloss in Kulmhof erfolgte der Mord an 250 000 Menschen des Deutschen und Polnischen Staates. Die Sache spielte sich wie folgt ab:

Die Menschen wurden nach Geschlechtern getrennt in einen mit Brettern verkleideten Raum gebracht, und ihnen gesagt, sie sollten sich entkleiden und zum Baden fertig machen. Nachdem sie sich entkleidet hatten, wurden sie in einen nebenan befindlichen kleinen Raum getrieben, in dem eine kleine elektrische Birne brannte. Dicht zusammengepfert wurden sie in einen Raum geschoben. Darauf die beiden Türen des Raumes verschlossen und das elektrische Licht verlöscht. Dieser kleine Raum war nichts anderes als der für diesen Zweck speziell gebaute Lastwagen. In dem Wagen waren Flaschen mit Kohlenoxydgas angebracht, welches nach Öffnen von einem Ventil durch enge Röhren in das Innere des Wagens strömte¹⁴.

Die ersten Menschen waren, als sie diesen kleinen Raum betraten wohl wirklich der Meinung einen primitiven Baderaum zu betreten. Den später angekommenen war es jedoch wohl bekannt, was ihnen bevorstand. Nach einer Aussage von Plaate mussten sie manchmal mit Stöcken in den Raum getrieben werden.

Bothmann sagte einmal, dass sie in Zeiten des Hochbetriebes täglich 3 000 Menschen „erledigt“ hätten¹⁵. Ob diese Menschen auch alle wirklich tot waren, als sie in die Grube gelegt wurden. Niemand kann diese Frage beantworten.

Als die Gruben alle geleert waren und von den arbeitenden Juden der Ginstersamen gesät, die Kiefern- und Birkenpflanzen gesetzt waren, wurden diese restlichen Menschen ebenfalls „umgelegt“ und verbrannt. Das Sonderkommando rückte daraufhin bis auf wenige Männer ab. Das alte Schloss in Kulmhof wurde gesprengt und dem Erdboden vollkommen gleichgemacht, die Steine wurden weggebracht und der Schutt so eingeebnet, dass ein Uneingeweihter niemals auf den Gedanken kommen kann, dass dort ein grösserer Bau gestanden hat¹⁶. Vielleicht wird an dieser Stelle, an welcher eine viertel Million unschuldiger Menschen ihr Leben liessen ein Mal errichtet werden, dass an eines der furchtbarsten Geschehen der Menschengeschichte erinnert.

Im Frühjahr 1944 tauchte plötzlich Bothmann mit dem Sonderkommando wieder auf und forderte erneut grössere Brennholzmengen. Die Opfer wurden nunmehr mit der Kleinbahn nach Wiederherstellung einer gesprengten Kleinbahnbrücke bis in die unmittelbare Nähe der Grabstätten gefahren. Die Vergasung erfolgte auf dem Platze selbst. Einzelheiten hierüber sind mir nicht mehr bekannt, da ich keinen Zutritt zu dem Platz hatte. Das Kommando führte, wie aus dem Kopf vorgedruckter Briefbogen hervorging, nicht mehr die Bezeichnung Sonderkommando Kulmhof, sondern Sonderkommando Bothmann.

(s. 44) Eine Begebenheit welche sich bei der Vergiftung auf dem Gräberfeld im Jahre 1944 abspielte und die ganze tierische Rohheit des Bothmann beleuchtet, möchte ich noch erwähnen.

Eine junge Frau welche den Vergiftungsraum betreten soll bricht in wilde Schreie aus und ruft immerwieder:

„Ich will nicht ersticken ich will lieber erschossen werden.“

„Das kannst du haben, Mädchen“, sagt Bothmann, erhebt die Pistole und schießt sie nieder.

Eine ältere Frau mit ihrer Tochter bittet vor Grauen und Entsetzen aschgrau im Gesicht, sich selbst umbringen zu dürfen. Sie bat um einen Strick. Bothmann warf ihr aus einem herumliegenden Kleiderbündel einen Büstenhalter zu. Die Tochter legt sich auf die Erde während ihr die Mutter die Bänder um den Hals schlang. Als die Mutter nun zuzog schreit

die Tochter entsetzt auf. Mit diabolischen Grinsen sahen Bothmann und seine Henkersknechte dem Vorgang zu. „Nicht wahr, da sind wir doch humaner, also nichts als rein in den Wagen“, sagte er. (Eigene Aussagen des Bothmann; Zeuge: Landrat und Kreisleiter Becht).

Der unmittelbare Leiter und Ausfühler des Sonderkommandos war, wie bereits erwähnt, Bothmann. Sein Dienstvorgesetzter und Hauptverantwortlicher war der SS-Oberführer Ramzoch? „Ich habe öfter versucht in Kreisen höherer Beamten die Sprache auf dieses grauenvolle Vernichtungswerk zu bringen. Unbegreiflich war mir die stets zur Schau getragene Gleichgültigkeit mit der man darüber hinwegging. Vielleicht war die Gleichgültigkeit nur Maske und dahinter stand die Angst sich zu verraten und selbst dort gerichtet zu werden. Jedes Recht hat ja im Warthegau längst aufgehört. Es gab nur ein Recht und dieses waren die Anordnungen von Greiser und seinen Henkersknechten.

ZBRODNI WEHRMACHTU W ZŁOCZEWIE

Spośród zbrodni *Wehrmacht* dokonanych podczas działań wojennych na ludności cywilnej we wrześniu 1939 r. wiele jeszcze czeka na swą dokumentację, którą mogą stanowić dzisiaj niestety tylko zeznania świadków. Tendencje istniejące w dowództwie *Wehrmacht* można tylko w niektórych wypadkach wykazać niemieckimi dokumentami, jak np. odezwą zamieszczoną w ulotce zrzuconej nad Warszawą w dn. 25 IX 1939. Generał niemiecki grozi w niej rozstrzelaniem 20 mieszkańców stolicy za każdego żołnierza niemieckiego, który padnie w Warszawie¹. W szeregu innych miejscowości doszło do wykroczeń jaskrawie sprzecznych z prawem międzynarodowym. Los ludności cywilnej na terenach zajętych przez *Wehrmacht* ilustrują dobitnie wydarzenia, które miały miejsce w Złoczewie, na południowo-zachodnim odcinku frontu, gdzie trzy kliny ósmej armii niemieckiej pod dowództwem gen. Blaskowitza wchodziły w terytorium Rzeczypospolitej. Te właśnie wydarzenia są przedmiotem niniejszej dokumentacji.

Złoczew jest miasteczkiem w pow. sieradzkim. Leży przy szosie Wrocław-Łódź w odległości około 13 km na zachód od rzeki Warty, 24 km na północ od Wielunia i 23 km na południe od Sieradza. Liczy dziś około 2 500 mieszkańców trudniących się przeważnie rzemiosłem i rolnictwem. Posiada dwa zażytkowe (barokowe) kościoły — jeden z klasztorem bernardynów z 1600 r. oraz drugi — parafialny z 1601 r. Przy ul. Burzenińskiej znajdują się ruiny barokowego pałacu z XVII w. zniszczonego przez hitlerowców. Złoczew, oddalony zaledwie o około 40 km od przedwojennej granicy polsko-niemieckiej, został już w dn. 3 września zajęty przez oddziały *Wehrmacht*. Na kilka godzin przed ich wkroczeniem przesuwały się tędy jednostki armii „Łódź”, którą dowodził gen. Römmel. Wycofywały się one z przedpola zasadniczej linii obronnej, gdzie poniosły znaczne straty. Cofanie się (28, 30 i 31 pułk piechoty 10 dywizji piechoty) z pozycji pośredniej (rzeka Łużyca, Klonowo, Huta,

¹ Odezwę tę ogłosił „Przegląd Zachodni” (1961 nr 4), następnie tygodnik „Stolica” (z 1 IV 1962) z wezwaniem do zgłaszania się osób, które tę ulotkę miały w ręku. Kilku świadków mieszkających dzisiaj w różnych stronach Polski przypomniało sobie ową ulotkę i dlatego należy fakt jej zrzuconia uznać za udowodniony.